

TRZEBA LUBIĆ PANIA WARREN

paradoks Shawa, a dobry dialog płynie wartko i jest pozbawiony staroświeczyzny. Wincenty Zawirski znakomicie zmieścił się w obskurnej skórce Croftsa, Stefan Winter — w oblesnej bezradności uczciwego pastora Gardnera, Feliks Woźnik — w nieco krzykliwej, może, acz chłopięcej draniowatości Franka, a Jan Cybulski — w romantyczności staroświeckiego Praeda, z tym, że może zanadto groteskowej. Wszyscy więc próbują godnie partnerować Marii Malickiej, która w tym spektaklu jest panią Warren najbardziej uroczą z tych, jakie dotychczas widziałam na scenie.

K. S.

Teatr im. Wandy Siemaszkowej — G. B. Shaw — „Profesja Pani Warren”. Reżyseria: Maria Malicka. Asyst. reż.: Feliks Woźnik. Scenografia: Jerzy Michalak. Pani Warren — Maria Malicka i Elwira Turcka, Wiwla — Anna Kujalowicz, Crofts — Wincenty Zawirski, Frank — Feliks Woźnik, Samuel Gardner — Stefan Winter, Praed — Jan Cybulski. Premiera w grudniu 1972 r.

W drugim roku naszego wieku, po ośmiolętnich bojach z cenzurą, Londyn zdecydował się nareszcie usłyszeć ze sceny o byznesie pani Warren i pana Croftsa. Najzabawniejsze, że nie chodziło zapewne tyle o szelmowską Kitty i jej proceder — ile o nobliwego Croftsa i jego trzydziestoprocentowy cichutki współdziałal w zarządzaniu międzynarodowym interesem. Złośliwie bowiem sobie wymyślił, wówczas jeszcze nie stary, a ledwie czterdziestoletni George Bernard Shaw, to połączenie kobietki sprytniej i niechędzących obyczajów z gentlemanem w cylindrze, przyjmowanym w najlepszych domach Anglii, której patronowała miłośniczką największą purytanka wszechczasów — królowa Wiktorja. Złośliwie i nie na strawność umysłową uczciwego obywatela. Bo uczciwy obywatel lubił mieć pieniądze, lubił cenę pieniędzy, lubił określać pozycję towarzysko-społeczną według pieniędzy — ale te duże pieniądze nie mogły pachnieć sypialniami pań swawolnych, tylko raczej potem spływającym z pleców wszelkich potulnych bydłatek bożych. Pani Warren zaś miała na tyle piękne plecy i na tyle mało potulności, że, też zapewne w sypialni, potrafiła się dogadać z sir Croftsem i już we dwójkę pobudowali luksusowe sypialnie niemal w całej eleganckiej Europie. Ba, idąc dalej w przypuszczeniach, zapewne patrząc na Croftsa — gentlemana wymyśliła owa matematykę w Cambridge dla Wiwli — córki urodzonej nie wiadomo z kogo, ale z niej na pewno...

Wiwla jest uczciwa. Tak ja sobie zamyślił G. B. S. i wbił klinem tę opokę prawości w świat chwiejnych interesów i egzaltowanych uczuć. Aleć ten sam G. B. S. uczynił z Wiwli trzeźwą realistkę, chłodną kobietę, która będzie zdecydowanie dążyła do pieniędzy, pozycji, szacunku ludzkiego na przekór wszystkim. Ponieważ z międzynarodowych sypialni pani Warren przyszło wykształcenie i co się stało — nie od stanie, bodaj teraz, gdy już wie o tych sypialniach, nie chce mieć z nimi nie wspólnego. Ani z panią Warren. W ten sposób „Mama jest silniejsza niż cała Anglia” — to zwykłe fałszerstwo, wykrzyknięte nieopatrnie w chwili niepotrzebnej egzaltacji.

Taką właśnie Wiwli zaprezentowała w przedstawieniu rzeszowskim „Profesja pani Warren” — Anna Kujalowicz: chłodną, nie nazbyt sympatyczną, silną, w sobie zamkniętą. I nic na to nie poradzę, że drażniła mnie ta bardzo konsekwentnie zbudowana i dobrze zagrana rola, kiedy patrzyła na pełną wdzięku lotrzykę Marii Malickiej, na te jej kwocze zabiegi wokół pannicy, na te wszelkie przypochlebności, na to cackanie się z humorkami panny, na tę jej miłość, dumę, podziw, trzepotanie zgorzkniałego serca, słowem — na całe to tyleż spóźnione, co dziwaczne macierzyństwo, z którego nic dobrego dla niej nie wyszło. Bo Maria Malicka panią Warren grała najpierw jako ofiarę systemu ekonomicznego, a potem zwykłą, nieco tylko ordynarną — ot, szczypta pikantnego sosu przyprowadzoną, kochającą matkę, która mogła tłuc kamienie na szosie, gdyby było trzeba i gdyby z tego był Cambridge. Ponieważ nie byłoby na pewno — wzięła się za rozbudowę systemu sypialni. W myśl starożytnego maksymy, że pecunia non olet.

Maria Malicka także reżyserowała „Profesję Pani Warren”; była to trzecia w przeciągu dwóch lat reżyseria tej sztuki. Przed 36 laty w swoim teatrze w Warszawie sama grała Wiwli. Dużo przemyśleń, więc i swoisty rodzaj zżycia się z tą komedią wniosła w rzeszowski spektakl. A przede wszystkim to jedno, że Shaw „Panią Warren” pisał u progu swojej kariery dramatycznej oraz kariery wielkiego kpiarza. Wyostrzyła więc w spektaklu paradoksy, podkreśliła niespokojną chęć shawowską do demaskowania wszystkich uczciwych ludzi, pasję w obnażaniu słabości pod nieugiętością postaw. I stąd zapewne ta Wiwla, której nie jest nam ani trochę żal. A także stąd taka właśnie pani Warren, której jednak trochę żałujemy. I z którą trochę się jednak zgadzamy, że ten uniwersytet w Cambridge, finansowany sypialniami kokot, to był zły pomysł, więc kto wie, czy nie jest racja po stronie pani Warren, gdy przysięga, że drugi raz chowałaby Wiwli niezbyt daleko od rodzinnych skłonności do sypialni...

Jest może w tej koncepcji odrobina przewrotności, ale jest na pewno ta koncepcja bliższa prawdy i zwyczajnie bardziej ludzka. Zaś rola Malickiej, cudowna rola właściwie dobrodusznego, acz sprytnego kobieciątka, które w swojej dobroci bywa niebezpieczne, uwodzicielskie, które stapia w sobie i potrzebną do życia inteligencję w ocenie cudzych charakterów i potrzebne quantum uczucia — urzekła mnie zwłaszcza w tych momentach, gdy kobieciątko usiłuje walczyć z uczuciem, usiłuje być twarde, tupać nogą i wymyślać od cholery. I też nic na to nie mogłam poradzić, że przypomniły mi się słowa Malickiej z wywiadu mi udzielonego, że kiedyś zagrała Arkadynę w „Czajce”. Czechowa nie jako wstrętą babę — lecz jako człowieka z wadami. Panią Warren też tak zagrała. Więc trochę wbrew Shawowi cieszyłam się, gdy Wiwla dostała należną jej lekcję o naglej prawdzie życia.

Napisał kiedyś Boy o jednej z komedii Shawa: „Sztuka była grana bardzo dobrze, jak zwykle u nas wszystkie sztuki Shawa”. Chyba nie wszystkie i chyba nie zawsze — ale w spektaklu rzeszowskim, reżyserowanym przez Malicką, wspomaganym zresztą funkcjonalną, ale z dobrym smakiem zaprojektowaną przez Jerzego Michalaka scenografią, zdanie Boya się sprawdza. Jest grany dobrze, aktorzy są sobie partnerami, ujawnia się w nim inteligentny



I tu pani Warren popełniła błąd: dając pannie wykształcenie — nie mogła dać dość świetnych koligacji rodzinnych, zawiesiła więc w próżni swój majątek i ustawiła pannę na pograniczu klasowym.

Ale zdała sobie z faktu sprawę za późno i żał mi było wysiłków pani Warren, które wkładała w mnożenie tajemniczych niedomówień, w przemilczenia, w budowanie wieżowca pozorów, nie chcąc dostrzec, że Wiwla zbrojna w swoje magisterium odchodzi, wyobcowuje się, że zgrozą patrzy na wulgarny światek podejrzanych przyjaźni matki.

Wiwla bowiem jest z tych, które co prawda krzykną w pierwszym porywie współczucia: „Mama jest silniejsza niż cała Anglia”, ale nie zniosą myśli, że proceder budowania grosza dalej płynąć może z sypialni. Więc Wiwla woli, by płynął z czegoś bardziej przyzwoitego. Bo i dla Wiwli płynąć musi — ona też chce zarabiać duże pieniądze — mówi to przecie — ale jak uczciwy, bogaty oraz wykształcony mieszkaniec Albionu.

G. B. S. podzielił z Oskarem Wilde tytuł króla paradoksu; z Ibsena wziął technikę dramaturgiczną i skłonność do naturalizmu; z samego siebie blysnał niepospolitą inteligencją i demaskatorską pasją obnażania pustki oraz fałszu słów. Rodziły się z tego melanzu: najpierw inteligencja, potem złośliwy intelekt, a jeszcze potem bezlitosne publiczne trzepanie półprawd, gładkich pozorów, bezpiecznych konwenansów.



Na zdjęciu: Maria Malicka — Pani Warren, Anna Kujalowicz — Wiwla, Jan Cybulski — Praed i Wincenty Zawirski — Crofts. Fot. Z. POSTĘPSKI